

Cukier, który nie krzepi

[Sławomir Shuty, *Cukier w normie z ekstrabonusem*, W.A.B., Warszawa 2005]

Niby nowy, ale jednak nie do końca, w każdym razie lekko ulepszony, niepozbawiony składników odżywczych, produkt na wskroś polski. Tak w skrócie można podsumować nową publikację Sławomira Shutego o wdzięcznym, gdzieś już przecież zasłyszonym, tytule: *Cukier w normie z ekstrabonusem*. I na tym opisie mogłabym poprzestać, wszak wiadomo, że o rzeczach prostych pisze się najtrudniej.

Ten dość pokaźny zbiór trzydziestu pięciu opowiadań stanowi przyjemną odmianę po, skądinąd niezbyt udanym, *Zwale*, który był pierwszą książką nowohuckiego pisarza, z jaką dane mi było obcować intelektualnie. *Cukier w normie...* ma nad *Zwałem* pewną przewagę. Otóż, czytając ten tekst, nie mam wrażenia, że mi się po prostu kłamie i konfabuluje – każda pojedyncza mikrohistoria jest dla mnie żywą, aktualną i autentyczną reporterską migawką, zarówno ze względu na zawartość, jak i na język. I chociaż nie ustrzegł się Shuty pewnych błędów i potknięć, wybaczam mu, ponieważ, podobnie jak Kinga Dunin, zbiór ten czytałam z niekłamaną przyjemnością. Aczkolwiek podzielam wątpliwości wspomnianej wyżej pani krytyk, mam poważne podejrzenia, że ta przyjemność mogła być „lekko zboczona” – wszak zarówno silnie zaznaczony w powieści brutalizm i wulgaryzm językowy, jak i obecność fabuł obarczonych patologią hiperbolizowaną do granic możliwości, winny być ostatnią rzeczą, po którą sięga delikatny w swej naturze humanista.

W zbiorze, wydanym tym razem nakładem wydawnictwa W.A.B., mamy zatem do czytania z, bardziej już przejrzyście niż w *Zwale*, sytuacją. Autor zwyczajnie pozbywa się narzuconego mu wcześniej kostiumu proroka antykonsumpcjonizmu (choć po dłuższym zastanowieniu dochodzę do wniosku, że raczej nie zdążył go jeszcze przybrać). Co więcej, jawnie agresywnego biografizmu oraz osoby autora w opowiadaniach tych po prostu brak. I słusznie, łatwiej jest bowiem uwierzyć własnym oczom, kiedy nie słucha się nieustannie opowieści o „naprawdę prawdziwej prawdzie”. Shuty usuwa się więc dyskretnie w cień, aby, korzystając ze swojego reporterskiego słuchu i oka fotografa, zająrzeć współczesnemu Polakowi do mieszkania, do chatupy, a nawet, ku uciesze gawiedzi i przerażeniu intelektualistów, do ziejącej pustką duszy. Tym razem wziął sobie Shuty na warsztat, o zgrozo, Polaka, definiowanego nieodłącznie, acz brzemienne w znaczenie słowem – „katolik”. Na użytek tej recenzji pozwolę sobie od tej chwili nazywać go „Polaczkiem”. Wierzę, zgodnie z mądrością ludową, że nie trzeba wcale w życiu spotkać wielbłąda, aby wiedzieć, że powszechnie występuje on na południowej półkuli. Podobnie jest z bohaterami *Cukru w normie...* Nie znam, nie spotkałam, a przecież wiem, że gdzieś musi się przecież wystoczyć bohater mrozących krew w żyłach nagłówek tabloidów, a reklama proszku do prania musi mieć swojego docelowego odbiorcę. I tak oto, daje nam Shuty przekrój przez tę właśnie zbutwiałą tkankę społeczną, właściwie jedynie po to, by przybliżyć nam raz jeszcze zjawisko,

które niegdyś Rafał Ziemkiewicz odważył się nazwać, nie bez gorzkiej ironii, „Polactwem”. Biorąc do ręki *Cukier normie...* spotykamy się bowiem z bezpośrednią egzemplifikacją Polaka najgorszej kategorii, najpośledniejszego gatunku i najbardziej zanieczyszczonej próby. To ten sam Polaczek, który w *Dniu Świra* Marka Koterskiego co wieczór odmawia na balkonie zawistną modlitwę, którą dla porządku pozwolę sobie przytoczyć:

„Gdy wieczorne zgasną zorze, zanim głowę do snu złożę, modlitwę moją zanoszę, Bogu Ojcu i Synowi. Dopierdolicie sąsiadowi! Dla siebie o nic nie proszę, tylko mu dosrajcie, proszę! Kto ja jestem? Polak mały! Mały zawistny i podły! Jaki znak mój? Krwawe gały! Oto wznoszę swoje modły do Boga, Marii i Syna! Zniszczcie tego skurwysyna! Mojego rodaka, sąsiada, tego wroga, tego gada! Żeby mu okradli garaż, żeby go zdradzała stara, żeby mu spalili sklep, żeby dostał cegłą w łeb, żeby mu się córka z czarnym i w ogóle, żeby miał marnie! Żeby miał AIDS-a i raka, oto modlitwa Polaka!”

Kiedy usłyszałam te słowa po raz pierwszy, nie było mi bynajmniej do śmiechu, zbyt bliskie są one tej zamiatanej ukradkiem pod nasz polski dywan prawdy o tym, o czym nie chcemy za żadne skarby pamiętać w naszych codziennych zmaganiach. Podobną reakcję wywołuje lektura *Cukru w normie...*, nawet mimo potężnej dawki kpiny, satyry i ironii, mających na celu utatwić nam przelknięcie tej gorzkiej pigułki. Oczywiście, czarno na białym widać, że Shuty Ameryki nie odkrywa. Jednak nie robi tego w jakim stylu! Krótkie, zaledwie kilkustronicowe opowiadanie, snute wielką czcionką, okolone solidnym marginesem, traktują głównie o blockersach, spadkobiercach kolejnej w polskiej historii wielkiej emigracji, tym razem ze wsi do miasta. Ich światem są umeblowane (dzięki odrobinie szczęścia i wstawiennictwu lkei) dwa pokoje, cztery ściany, wypełnione zazwyczaj niechcianymi lokatorami w postaci rodziny, z którą, wiadomo, najlepiej wychodzi się przecież na zdjęciach. Wbrew pozorom jest to rzeczywistość niezwykle uporządkowana, skodyfikowana prawem i wyposażona w tradycję, która, chociaż liczy sobie niespełna lat piętnaście, wydaje się jedyna i odwieczna. Tradycja ta jest więc niezwykle bogata, między innymi we własną miejską mitologię i wiejskie legendy (na przykład, że cukier szkodzi, kurze jaja to skrytobójcy uzbrojeni w broń ostateczną, czyli cholesterol, a tak w ogóle, to „(...) z czym my Panie do tej Unii, ja się pytam!”). Jak na zorganizowaną społeczność przystało, ma ona również swoją starszyznę w postaci gadających głów, przemawiających wprost do serc i umysłów ze szklanego ekranu współczesnej wyroczni, czyli zawsze włączonego telewizora. W rozwiązywaniu palących problemów wspierają społeczność tak zwane Mądre, wróżki i szamanki, obkładające odbiornik telewizyjny czosnkiem, potwierdzające swoje wyższe wykształcenie szczytnym dyplomem ukończenia korespondencyjnego kursu z okultyzmu, przeprowadzonego na podstawie „serii wideo *Piątek trzynastego*”, rzecz jasna. W tym, jakże bogatym w znaczenia, świecie słowo bynajmniej nie straciło swojego magicznego sensu, codzienność bohaterów jest wszak pełna zaklęć i klątw, jak we wspomnianej wcześniej wieczornej modlitwie. Żadne społeczeństwo nie może się również obyć bez osoby Boga, jednak, jak wszystko w prozie Shutego, Bóg ten wydaje się jakiś taki wypaczony, zwyrodniały, bliższy złotemu cielcowi. To Pieniądz. Z Pieniądzem to i jakoś tak milej położyć się do trumny, przecież człowiek na Sądzie Ostatecznym w nowych Adidasach prezentuje się znacznie bardziej elegancko, a opalenizna prosto z solarium i hermetyczna trumna gwarantują świeżość, dzięki której człowiek wygląda na człowieka, całkiem jakby wrócił wprost z wakacji nad morzem

lub chociaż ze słonecznych wczasów w byłej Jugosławii. Polaczek w każdą niedzielę, jak przystało na prawdziwego katolika, ubiera się elegancko, zbiera rodzinę w szeregu, sprawdza listę i wybiera się na wycieczkę do... hipermarketu, współczesnego odpowiednika świątyni. Wspólna obrzędowość, misteria w formie promocji kiełbasy (właśnie, kiełbasy!) stanowią czynnik jednoczący tę wspólnotę, niczym wiejski odpust. Ten Polaczek brzydzi się przebrzmiałą etykietką „konsumenta”, znacznie milej jego uchu brzmi elegancki „abonent” i, jak na takowego przystało, obdarzony jest niezbyt złożonym światem występnych marzeń. Dobrej nowiny dostarcza bohaterowi biblia złożona z grubego pliku kolorowych magazynów, dających otuchę i zawierających rozwiązania wszystkich problemów trapiących bohaterów (na przykład, troski o to, aby ognisko było zawsze ciepłe i domowe). Polaczek ciągle coś pochłania, lecz paradoksalnie wciąż pozostaje głodny, zupełnie jakby współczesna ewangelia uczyniła z jedzenia owoc zakazany, a tym samym, najbardziej kuszący. Co ciekawe, u Shutego pokusą nie jest bombonierka Wedla ani czekolada Lindt, tylko pęk kielbasy (z tą kiełbasą to musi coś być na rzeczy – czyżby ogrom pokusy automatycznie dostosowywał się do ambicji kuszonego?). Polaczek interesuje się żywo polityką, światem współczesnym, regularnie połyka i przeżuwa, zupełnie jak trawę, informacje serwowane co pół godziny przez wieczorne dzienniki. Szkoda tylko, że zapomniał o banalnym wręcz fakcie – żołądek człowieka nie trawi przecież celulozy!

Shuty dał swoim postaciom wręcz nieograniczoną autonomię, pozostaje bowiem uparcie nieobecny. Jednak gdzieś w tle, niezwykle dyskretnie przemawia ustami swoich bohaterów, a że głos jest jego, można poznać po granej na tę samą nutę melodii, po szeptanym z ucha do ucha, zbiorowym dekalogu wierzeń. „Kiedy będę je miał [nowe markowe buty – M.S.], z pewnością osiągnę harmonię ze wszechświatem, a także łatwiej będzie mi uwierzyć w Boga” – tak powtarza sobie bohater jednego z lepszych opowiadań, *Upadek*. Wtórjuje mu dzielnie bohaterka historii *Za kulisami*:

„(...) aha, teraz wiadomości, dobrze, zdecydowanie powinnam je obejrzeć, informacje bowiem w nim zawarte dadzą mi ogólne pojęcie o sytuacji gospodarczej i politycznej współczesnego świata (...) tak, myślę, że ta przedstawiona decyzja polityczna jest słuszna, zgadzam się też całkowicie, że w tym konflikcie zbrojnym powinien wygrać zdrowy rozsądek (...)”.

Natomiast rozterki pani Tańculowej, którymi, niepytana, zdecydowanie zbyt ochoczo dzieli się z otaczającym ją światem, są tłem dźwiękowym, tym nieodłącznym *soundtrackiem* każdego blokowiska, nie tylko nowohuckiego.

W swoich wnioskach Shuty bywa bezlitosny. Uchyła rąbka tajemnicy poliszynela, że *sacrum* w tym nowym, wspaniałym świecie zupełnie inną pełni funkcję, a mianowicie służy ekspresji werbalnej („na Boga!”, „Jezu Chryste”, „Skaranie Boskie z Tobą”, i tak dalej). Shuty odziera świat ze świętości, dokonując desakralizacji nie tylko na poziomie językowym, ale i fabularnym, nieustannie demaskując fałsz każdego rytuału. W jego rękach cała polska obrzędowość – zarówno święta, jak i dzień pierwszej komunii, a także coroczna wizyta księdza po kołędzie („(...) tylko na budowę kościoła w zeszłym roku Państwo nic nie dali (...) I dla kogo Chrystus cierpiał na krzyżu?”) – obracają się w proch, niczym zmuszane, niepotrzebne nikomu już ikony. W prozie Shutego najbardziej dotkliwa okazuje się krzywda, jaką robi się dziecku, mimo że jest ona zupełnie innej maści niż ta, opowiedziana

w szokujących *Opowieściach słyszanych* Wojciecha Kuczoka. Dziecięcy bohater opowiadań Shutego, zawsze obecny gdzieś na dalszym planie (z wyjątkiem opowiadania *Komunia*), od małego pobiera nauki z nowoczesnego, wypaczonego elementarza (wyłożonego najbardziej przejrzyście w poruszającym *Miejskim kraulu*); im jest młodszy, tym bardziej przerażony, im starszy, tym bardziej przeraża. Przyuczony do wączania zadrukowanego historycznymi postaciami papieru, z utęsknieniem wyczekujący tej magicznej chwili, gdy będzie mu dane poznać zawartość koperty wręczonej z okazji komunii (na bierzmowaniu już tyle nie dostanie). Dziecko to zna wartość rzeczy, zbędne mu są rower i zegarek, milej dla ucha szeleszczą banknoty stanowiące realną obietnicę wielkiego świata (gier komputerowych). I być może przyjdzie taki czas, gdy zamiast dzieci, mających stanowić przyszłość narodu, młodym, a zmęczonym już sobą małżeństwom, będą, jak w opowiadaniu *Nowe pożycie*, przychodzić na świat „jamniki” (takie dwukasetowe, z podwójnym podbiciem basów). Posiadanie potomstwa wydaje się bowiem średnio obiecujące i, w związku z tym, co raz częściej odwlekane. A jeśli tak to ma wyglądać, to nie pozostaje nic innego niż uciekać z takiej Polski i niech ostatni zgasi światło.

Tak więc drwi sobie bezlitośnie Shuty – i chwala mu za to. Bo kto ma to robić, jeśli właśnie nie on? Nie zgłaszam też absolutnie żadnych zastrzeżeń co do formy utworów, wszak nie widzę innego sposobu, by pokazać tak dosadnie ten wulgarny produkt polskiego zaścianka. Wbrew powszechnemu przekonaniu proza Shutego nie jest lingwistycznym eksperymentem. Stanowi ona po prostu niezwykle sprawnie przeprowadzoną stylizację językową na socjolekt, o jakim nie śniło się językoznawcom. Zdziwiająco, że postaci mówią swoim własnym, osobnym językiem, który, mimo że nie przypomina polskiego, z łatwością poddaje się bezbłędnej deszyfracji. Ogólnie rzecz biorąc, *Cukier w normie...* stanowi godny polecenia zbiór, może z wyjątkiem opowiadań z wątkiem *science-fiction*, podważających nieco wiarygodność przekazu. W trakcie lektury nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Shuty znacznie lepiej radzi sobie z krótką formą literacką i być może przy niej powinien pozostać. *Cukier w normie...* jest przejmującą wivisekcją na naszym narodowym poczuciu własnej polskości, zwierciadłem również i mojego świata, w którym przeglądam się dość opornie i nie bez odrazy. To obraz, który obezwładnia. Obezwładnia w szczególności pióro.